



STRAŻNIK
PIEKŁA

Maks Dieter

STRAŻNIK
PIEKŁA

STRAŻNIK
PIEKŁA

Maks Dieter

MACIEK

Lście na wysokich topolach po obu stronach drogi ziele- niły się w czerwcowym słońcu. Były to najwyższe drze- wa przy ostatniej prostej do domu. W połączeniu z błękit- nym niebem stanowiły cudowny, kojący zmysły widok. Całości sielanki dopełniały śpiew słowików oraz szum pszenicy poruszanej podmuchami ciepłego, letniego wiatru. Maciek lubił się wpatrywać w czubki tych drzew, wracając ze szkoły. Gdy był młodszy, wydawało mu się, że sięgają samego nieba. W miarę jak dorastał, sprawiały wrażenie coraz mniejszych, ale i tak pozosta- wały to najwyższe drzewa, jakie do tej pory widział. Może za wy- jatkami kilku strzelistych świerków w pobliskim lesie. Cudowny krajobraz i pogoda sprawiły, że nastrój Maćka był jeszcze lepszy. W dobry humor od rana wprawiał go fakt, że właśnie skończył się rok szkolny. Teraz mógł wrócić do domu ze świadectwem w rękę, może nie całkiem takim, jakie chciałby widzieć ojciec, ale lepszym, niż on sam się spodziewał.

Ubiegły rok szkolny nie należał do najbardziej udanych i oj- ciec doskonale rozumiał powód. Pilnował syna, żeby się uczył, ale

zdawał sobie sprawę, że Maćkowi nie jest łatwo przez to, co się wydarzyło niecały rok wcześniej. Jednak pomimo przeżytego wstrząsu chłopak starał się nie tracić pogody ducha, a w tak piękny dzień jak ten dało się zapomnieć o wszystkich smutkach świata. Jako że szósta klasa przeszła już do historii, można było definitywnie zapomnieć o nauce i zająć się planowaniem wakacji, a tych planów nigdy za wiele.

Gdy na gałęziach drzew zawieszały się kolejne myśli Maćka krążące już tylko wokół nadchodzącego lata, z refleksji wyrwał go znajomy dźwięk dochodzący zza pleców. Zanim zdążył się obejrzeć, szum opon na szutrowej drodze upewnił go, że musiał to być rower. Odwrócił się i przysłonił oczy ręką, oślepiony blaskiem słońca. Po chwili rozpoznał swojego przyjaciela. Machał energicznie ręką, drugą trzymając kierownicę swojego składaka, upewniając się w ten sposób, że Maciek go widzi, chociaż był nie dalej niż w odległości kilkunastu metrów.

Miał na imię Piotrek, ale z racji swojej nadwagi na podwórku dostał ksywkę „Porki”, po śwince z popularnej kreskówki. Nie protestował z tego powodu; miał świadomość, że waży więcej niż jego koledzy, poza tym wołał takie przezwisko niż „Prosiak” albo „Spaślak”, jak czasem go nazywano. Porki cofnął pedały, wciskając hamulec do oporu, tak że zablokowane tylne koło wzbilo tuman kurzu na suchej jak pieprz nawierzchni, i zatrzymał rower przed Maćkiem.

– Ej, a ty czemu dopiero tutaj? Rozdanie świadectw dawno się skończyło – spytał, z trudem łapiąc powietrze. Jego pucułowata twarz, i tak już mocno różowa, teraz nabrała od wysiłku odcienia purpury i przypominała barwę dojrzałego, upstrzonego piegami pomidora.

– A nie wiem... Jakoś mi się nie spieszy – odpowiedział Maciek od niechcienia. – A ty co tu robisz? Już prawie pora obiadowa, a obiadku chyba nie odpuścisz... – Zaśmiał się, klepiąc Porkiego po ramieniu.

– Ciąg się, niemoto – odparował Porki, lecz uśmiech nie zniknął mu z twarzy. – Jedziesz z nami po obiedzie nad jezioro?

– Pewnie. Przecież nie będę się w taką pogodę nudził na chacie.

– Dobra, to przyjadę po ciebie o czwartej.

– Spoko, to nara.

– No, nara.

Porki ponownie wsiadł na rower i ruszył do domu, który znajdował się za następnym zakrętem. Maciek stał jeszcze chwilę i patrzył za przyjacielem, zastanawiając się, jak ten z taką nadwagą może tak sprawnie jeździć rowerem. Inną cechą Porkiego było to, że prawie nigdy nie tracił pogody ducha, a humor opuszczał go bardzo rzadko. Właśnie jego spośród czwórki należącej do ich paczki Maciek lubił najbardziej. Przyjaźnili się, odkąd pamiętał, i nie wyobrażał sobie, że mogło go nie być. Porki zawsze miał szalone pomysły i często podrzucał je chłopakom, dzięki czemu nie mogli narzekać na nudę. W połączeniu z jego entuzjazmem efekt był taki, że nie dało się go nie lubić. Maciek również miał sporą fantazję, ale to Porki był najbardziej spontaniczny. Obydwaj uwielbiali nieznaną, odkrywanie nowego i wszelkie zagadki, na jakie mogli się natknąć w okolicy tej niewielkiej miejscowości, jaką był Zimnik.

Jakieś trzy lata wcześniej wraz z Wojtkiem Tyszkiewiczem zwanym przez kolegów Tyką, po części z racji swojego wzrostu, a trochę przez nazwisko, oraz Krzyśkiem Konarskim, noszącym przydomek „Ślepy” z powodu lekkiego zezga, stworzyli coś na kształt klubu, którego siedziba mieściła się w kanciapie nad brzegiem jeziora. Świetnie się rozumieli i lubili swoje towarzystwo. Jednak to Maciek i Porki przeżyli wspólnie najwięcej przygód, a dwa lata wcześniej zdarzył się wypadek, który jeszcze bardziej umocnił ich przyjaźń.

Pewnego dnia urządzili zawody w pływaniu w jeziorze. Porki, który chciał się pokazać przed kolegami, przecenił jednak swoje siły. W rezultacie zaczął tonąć na środku zbiornika, podczas gdy

reszta chłopaków dopłynęła już do brzegu. Maciek mimo zmęczenia wrócił i popłynął na ratunek. Resztką sił dociągnął przyjaciela do brzegu i tym samym uratował mu życie. Od tamtej pory Porki czekał na okazję, aby mu się odwdzińczyć, wpadając na coraz bardziej szalone pomysły, z których niektóre mogły narazić ich na utratę zdrowia, a nawet życia.

Cała czwórka uwielbiała wszelkiego rodzaju wypadki i eksploatacje. Im bardziej ryzykowne, tym lepsze. Co prawda największe obawy zawsze miał Ślepy, ale i tak ostatecznie dawał się namówić. Najodważniejszy zaś wydawał się Maciek. W krytycznych momentach – jak choćby podczas pamiętnej ucieczki przed psem starego Gajowskiego – zamiast strachu odczuwał podniecenie. Umiał zachować zimną krew zupełnie jak dorosły. Porki zastanawiał się czasem, czy Maciek w ogóle wie, co to strach. Podczas zeszytych wakacji Piotrek wymyślił czelendź polegający na spędzeniu nocy w starym miejscowym folwarku, gdzie rzekomo straszycie. Mieli nocować na strychu budynku gospodarczego, gdzie widywano ponoć ducha wisielca. Jak wynikało z relacji – pochodzących głównie od starego Gajowskiego, który wieczorami siedział w okolicznej knajpie i po kilku głębszych opowiadał zgromadzonym o tym, co widział podczas stróżowania – miał on być za życia francuskim robotnikiem przymusowym, pracującym w pobliskiej kopalni granitu eksploatowanej przez Niemców podczas wojny.

Decyzja o wypadzie zapadła jednogłośnie. Powiedzieli rodzicom, że idą pod namioty, i pod osłoną nocy zakradli się na strych folwarku. Zadanie nie było łatwe, gdyż najpierw musieli się uporać ze starym rottweilerem Gajowskiego. Do tego celu posłużył salceson zwędzony przez Porkiego z domu. Stary stróż spał już w swojej kanciapie po codziennej dawce wódki, więc mieli go z głowy.

Tym sposobem udało im się dostać na przepastny strych głównego budynku będącego niegdyś magazynem. Duch nie raczył się pojawić, ale Porki, Tyka i Ślepy zrywali się na równe nogi za

każdym razem, gdy usłyszeli minimalny szmer, który szybko okazywał się sprawką ptaka, szczura czy po prostu hulającego wiatru.

Maciek tymczasem przespał smacznie całą noc. Porki nabrał pewności, że nie obudziłby się, nawet gdyby duch zawlókł go za nogę do piwnicy.

Do czasu wypadku Maciek był beztroski, wesoły i odważny. Cieszył się każdym dniem, jak większość chłopców w jego wieku. Los jednak sprawił, że musiał stawić czoło brutalnej rzeczywistości, nazywanej przez dorosłych twardym życiem. A zmierzył się z nią w najgorszy możliwy sposób.

Któregoś dnia po powrocie Maćka ze szkoły w domu zebrała się grupa sąsiadów, co go zdziwiło i zaniepokoiło. Wszyscy mieli smutne miny i patrzyli na niego z politowaniem. Było to tym dziwniejsze, że przybyli nawet ci, którzy nie lubili się z ich rodziną. Jak to zwykle bywa, sensacja sprawiła, że ludzie ściągnęli jak hieny do padliny, lecz Maciek nie miał pojęcia, co mogło się wydarzyć. Czuł jedynie, że to nic dobrego. Jego młodszy brat siedział u ciotki Porkiego na kolanach – miała czerwone oczy i pociągała nosem, co świadczyło o tym, że chwilę wcześniej płakała – i patrzył pytająco na ojca wbijającego tępy wzrok w kuchenną posadzkę. Wyglądał, jakby stracił kontakt z rzeczywistością i szukał w podłodze jakiejś odpowiedzi. Wtedy Maćka ogarnęła groza. Wiedział już, że wydarzyło się coś strasznego. Ojciec, ujrawszy syna, ocknął się z letargu i zabrał go do jego pokoju. Tam chłopak dowiedział się, że matka już nie wróci do domu. W pierwszej chwili pomyślał, że ojciec mówi o jakimś wyjeździe albo że mama trafiła do szpitala, lecz gdy zaczął zadawać pytania, ojciec wybuchnął płaczem. Wtedy dotarła do niego prawda, której nie chciał zaakceptować: mama miała już nigdy nie wrócić, bo nie było jej na tym świecie.

Strata matki stanowiła dla Maćka wielki cios. Obraz tej tragedii zamazał się nieco w jego pamięci, lecz nadal nie mógł się pozbierać, mimo że od tamtej pory minęło dziewięć miesięcy. Nie był już tym

samym chłopcem co wcześniej. Ojciec dodatkowo cierpiał, widząc to. Maciek kochał mamę bardzo mocno, mimo iż nie była idealna. Miała problemy, z którymi nie umiała sobie poradzić, przez co często uciekała w alkohol. To z kolei doprowadziło ostatecznie do wypadku samochodowego, w którym straciła życie. Maciek przez długi czas nie mógł uwierzyć, że to wydarzyło się naprawdę. Miał wtedy jedenaście lat i nie do końca potrafił zaakceptować fakt, że ktoś, kogo znał od urodzenia, może nagle po prostu zniknąć całkiem z jego życia. Chociaż wiedział, że to złudzenie, często zdawało mu się, że mama po prostu gdzieś wyjechała, ale przecież wróci i wszystko będzie jak dawniej. Przez parę miesięcy po wypadku budził się prawie każdego ranka z przeświadczeniem, że to był tylko sen, a gdy wejdzie do kuchni, zastanie tam matkę szykującą kanapki. Ale zamiast niej spotykał ojca siedzącego na krześle, patrzącego niewidzącym wzrokiem za okno. Dopiero po chwili docierało do niego, że Maciek stoi za jego plecami. Niekiedy oczy taty były czerwone i wilgotne. Czarę gorzycy przelewał sześciolatek Marek, który przez kilka tygodni po śmierci matki pytał, czy mama naprawdę odeszła do nieba i czy może jednak wróci.

Od pogrzebu nie było dnia, żeby Maciek nie myślał o mamie i o wypadku. Zdarzały się jednak momenty, gdy powracał na krótko do dawnej pogody ducha, zapominając o tym, co się wtedy wydarzyło. Zakończenie roku szkolnego było właśnie takim dniem, gdy Maciek przypominał chłopca, jakim był przed tragicznym odejściem matki. Porki po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczył na jego twarzy szczery uśmiech. Gdy przyjaciel odjechał, Maciek na powrót sposepniał. Tym razem jednak myślał o Porkim. Zastanawiał się, co sprawia, że jest taki pogodny. Porki w ogóle nie znał swoich rodziców, a jego oraz starszą siostrę wychowywała ciotka. Była to kobieta ogromnej postury i o równie wielkim sercu. Jej impulsywność dorównywała zarówno posturze, jak i dobroci. Często krzyczała i rzucała tym, co wpadło jej w ręce, gdy któreś

z podopiecznych zalazło jej za skórę lub gdy coś nie szło po jej myśli, lecz nerwy szybko jej przechodziły i na powrót stawała się człowiekiem o złotym sercu.

W takich momentach Maciek bał się wchodzić do domu Porkiego. Zostawał na ganku, bo nie był pewny, czy uda mu się wyjść cało. Zdawało mu się czasami, że ziemia drży pod stopami olbrzymiej ciotki. Miał wrażenie, że lada chwila drzwi się otworzą i ta wielka baba po prostu go pożre.

Mimo swojej nerwowości była to kobieta o złotym sercu, choć twarda jak stal. Jej siostra, matka Porkiego, mieszkała we Wrocławiu. Gdy urodziła starszą siostrę Piotrką, rezydowała w akademiku i prowadziła tryb życia nieodstający od codzienności większości studentów. Nie stroniła od imprez ani alkoholu. Gdy się dowiedziała, że jest w ciąży, uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia z kim. Wystraszyła się życia samotnej matki, więc po urodzeniu postanowiła oddać córkę do domu dziecka. Ciotka, gdy się o tym dowiedziała, adoptowała dziewczynkę. Tymczasem siostra imprezowiczka nadal studiowała, a jej nawyki nie zmieniły się znacząco. Dwa lata później ciotka znalazła na ganku następne dziecko, tym razem chłopca, z liścikiem, w którym siostra wyrażała ogromną wdzięczność za opiekę nad dwojgiem jej dzieci i zapowiedziała, że kiedyś (nie określiła kiedy) po nie wróci. Jako że ciotka miała równie potężny głos, co postawę, znaczna część wioski usłyszała wtedy „superlatywy”, jakimi określiła matkę Porkiego. W ciągu dwunastu lat, które minęły od tamtej pory, wszelki słuch o marnotrawnej siostrze zaginął, a Porki nigdy o swojej prawdziwej matce nie wspominał. Oprócz jednego razu, gdy zwierzył się Maćkowi z tego, co usłyszał podczas rozmowy ciotki z jakąś znajomą, której opowiadała przy kawie historię wychowywanych przez siebie dzieci.

W życiu Porkiego bywały też zabawne momenty i zdawać by się mogło, że było ich więcej niż przykrych chwil. Podczas spotkań

z kolegami często opowiadał o tym, co mu się przydarzyło. Z reguły były to zabawne historie, które Porki relacjonował w swoim wyjątkowym stylu. Wszyscy tarzali się wtedy ze śmiechu, a Porki był w siódmym niebie. Maciek zastanawiał się, czy jego przyjaciel zrobi kiedyś karierę jako artysta kabaretowy. Pamiętał szczególnie jedną taką opowieść, po której ze śmiechu ciekły mu z oczu łzy, a przez resztę dnia bolał brzuch. Historia opowiadała o pewnym niefortunnym zdarzeniu, po którym Porki przestał być ministrantem.

Piotrek zaczął swoją opowieść od tego, jak to zeszłej zimy chodzili po kołędzie. Pech chciał, że ciotka zrobiła tego dnia na obiad fasolkę po bretońsku, którą Piotrek uwielbiał i której zjadł dwie porcje. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, popił to wszystko kwaśnym mlekiem, a tuż przed wyjściem zjadł wielkie, soczyste jabłko.

Problem zaczął się mniej więcej przy czwartym domu; znajome bulgotanie w brzuchu uświadomiło mu, że nie jest dobrze. Gdy wychodzili z szóstego domostwa, Porki musiał zostać w tyle, za księdzem i drugim ministrantem, aby móc swobodnie puścić bąka. Zrozumiał jednak, że kolejna próba odgazowania organizmu może się okazać fatalna w skutkach. Zdał sobie sprawę, że bez posiedzenia się nie obejdzie. Tyle że byli na drugim końcu wioski – nawet gdyby zaczął biec do domu, szanse, że zdąży, były nikłe. Bał się też, że ksiądz będzie na niego krzyczał za to, że szuka wymówek i chce się wymigać od obowiązku. Postanowił jakoś przetrzymać.

Trzy domy dalej był jeszcze dzielny, lecz gdy weszli do wdowy Kaczmarskiej, świat zaczął walić mu się na głowę. Czuł, że albo pobiegnie zaraz do ubikacji, albo wyjdzie stamtąd z pełnymi gaciami. Gdy ksiądz zrobił pierwszy łyk herbaty, rozprawiając ze starszą panią o dobrodziejstwach Królestwa Niebieskiego, Porki spytał, czy może skorzystać z toalety. Ksiądz spojrział na niego podejrzliwie, a gospodyni wskazała mu pomieszczenie. Wtedy nie wiedział jeszcze, że starsza pani ma zaniki pamięci. Ubikacja nie grzeszyła przepychem, ale w mniemaniu Porkiego była „przytulna”. Gdy

urzął muszlę klozetową – jego zbawienie – sprawy nabrały tempa; czym prędzej ściągnął gacie, aby wyrzucić z siebie błąd konsumpcji. Na jego nieszczęście łazienka graniczyła z salonem, w którym goszczony był ksiądz. Aby zagłuszyć dźwięki towarzyszące jego uldze, postanowił głośno kaszleć i chrząkać. W pewnym momencie musiał przesadzić, gdyż pani Kaczmarska spytała, czy nie potrzebuje pomocy. Ksiądz również o coś zagadnął, lecz Porki nie dosłyszał i nie chciał wiedzieć, czego dotyczyło pytanie. Na szczęście dziesięć minut później było po wszystkim. Wątpliwy zapach unoszący się w toalecie zapewne pozbawił życia nie tylko pająki, ale także szczury pod podłogą, ale Porki o to nie dbał – najważniejsze, że pozbył się problemu.

Następnych kilka chwil uświadomiło mu, że prawdziwy problem dopiero się zaczął.

Skończywszy, użył papieru toaletowego, wstał i spojrzał na to, co zrobił: cała muszla była zabrudzona. Nie wierzył własnym oczom. Wziął szczotkę do czyszczenia ubikacji i postanowił czym prędzej usunąć ślady swojej zbrodni, jak nazywał w myślach ten czyn. Pociągnął za sznur spłuczki, a wtedy pociemniało mu w oczach. Przez moment nie mógł złapać tchu, a po plecach przeleciał mu zimny dreszcz – w rezerwuarze nie było wody. Powtarzał sobie, że najważniejsze to nie wpadać w panikę. Trzeba szybko myśleć. Jak na złość, żadnej miski, wiaderka ani choćby kubka – na całe szczęście w kranie była woda. Zostały jeszcze dłonie. Odkręcił kurek i nabierając wody w złączone dłonie, chlustał nią do muszli, a potem szorował szczotką jak opętany. Efekt był oplakany: rozmazał jedynie potwora po całej powierzchni klozetu. Omal się nie rozpląkał. Chciał wyc wniebogłosy z rozpaczy i wściekłości. Wtedy usłyszał pukanie do drzwi. „To koniec” – pomyślał. Usłyszał głos pani Kaczmarskiej:

– Chłopcze?! Tam jest spłuczka zepsuta! Musisz odkręcić zawór na ścianie za muszlą...

Przez chwilę patrzył tępo w drzwi łazienki. Nie wiedział, czy ma skakać z radości, czy wyjść i nawymyślać babce od starych skle-
rotyczek. Potem pamiętał już tylko szum wody wypełniającej rezer-
wuuar – jeden z najpiękniejszych dźwięków, jakie słyszał w życiu.

Niestety, gdy tylko z wyrazem błęgiego szczęścia na twarzy opuścił łazienkę, ksiądz stwierdził, że musi pilnie skorzystać z toa-
lety po herbacie. Porki nie był pewny, ale dźwięki dochodzące z ła-
zienki po zamknięciu drzwi przez księdza były albo kaszlem, albo
odgłosem wymiotowania. Potem doszedł do wniosku, że raczej
jednym i drugim. Podczas powrotu ksiądz wyznał, że woli, aby
Piotrek odpoczął na jakiś czas od ministrantowania.

W ten dość niefortunny sposób zakończyła się kościelna karier-
a Porkiego.

Tak rozmyślając, Maciek dotarł do domu. Gdy wszedł, okazało
się, że ojca ani brata nigdzie nie ma. Na kuchennym stole stał świe-
żo ugotowany obiad. Pomyślał, że ojciec nie mógł daleko odejść
i że pewnie, jak zwykle o tej porze, robi coś w sadzie. Zostawił na
kredensie świadectwo ukończenia szóstej klasy i udał się na tyły
podwórza, gdzie znajdował się sad z jabłonią będący głównym
źródłem utrzymania Góreckich. Oprócz tego ojciec naprawiał tak-
że samochody, motocykle i maszyny rolnicze – z samego sadu nie
sposób było wyżyć. Tak jak przypuszczał, ojciec doglądał drzew,
a brat biegał między pniami ze świeżo okorowanym kijem, który
zapewne miał być mieczem. Gdy ojciec zobaczył Maćka, uśmiech-
nął się szeroko. Już dawno nie widział ojca roześmianego, więc
jeszcze bardziej poprawiło mu to nastrój.

– Cześć, Maćko! Jak tam uroczystość? Wszystko okej? – spytał
syna, gdy ten podszedł bliżej.

– Tak, tato, jakoś zdałem – odparł Maciek z bladym uśmiechem.
Spodziewał się, że ojciec zacznie wypytywać o oceny, ale tak się nie
stało. Objął go ramieniem i razem wrócili do domu.

– Chodź, zjesz obiad, a potem wszystko mi opowiesz.

– Jasne, tato – odpowiedział Maciek, rad, że tłumaczenie się z ocen zostało odroczone.

– Nareszcie masz wakacje. Pewnie się cieszysz. Tylko nie wymyślcie z Piotrkim znowu czegoś głupiego.

– Głupiego nie, ale pewnie znajdzie się coś szalonego – odpowiedział przekornie chłopak.

– No, no, już ja znam te wasze pomysły – odparował ojciec, chrając syna po bujnej jasnej czuprynie.

– Wiesz, że go pilnuję, tato. Ze mną nie zrobi nic głupiego.

– No, mam nadzieję. – Ojciec nie zmienił łagodnego tonu.

– Poza tym mam przeczucie, że te wakacje będą wyjątkowe. Inne niż wszystkie.

– Oby tak było – odparł ojciec.

Te wakacje rzeczywiście miały być wyjątkowe, lecz jeszcze wtedy Maciek nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo miały się różnić od wszystkiego, czego do tej pory doświadczył.

JEZIORO

Największą atrakcją i centrum wszelkiej rozrywki w niewielkim Zimniku było jezioro o tej samej nazwie. Nieckę zbiornika stanowiło stare wyrobisko pozostałe po kopalni granitu, jakich wiele było w okolicy. Gdy kopalnię po wojnie zamknięto, teren kamieniołomu wypełniono wodą i tak powstało jezioro zalewowe, a właściwie trochę większy staw, choć bardzo malowniczy ze względu na okalające go pionowe granitowe ściany. Wraz z półkami i występami skalnymi, porośnięte z rzadka drobną roślinnością, dodawały okolicy nieodpartego uroku. Ściana od południa była najwyższa. Tam też znajdował się Diabelski Kieł – pojedynczy występ wiszący ponad taflą jeziora. Stanowił zwieńczenie klifu wrzynającego się pod ostrym kątem w wodę niczym dziób statku. Był tutaj najniebezpieczniejszym miejscem i stanowił nie lada wyzwanie nie tylko dla nastolatków, którzy nie bali się skakać do wody z wysokości prawie dwudziestu metrów, ale też dla dorosłych. Maciek i jego kumple oczywiście się nie bali – a przynajmniej tak twierdzili. W rzeczywistości każdy miał stracha przed skokiem,

ale ten, który spękał, musiał być tradycyjnie nazwany pipą, a pipą nikt zostać nie chciał.

W najgłębszym miejscu jezioro miało prawie trzydzieści metrów, więc nietrudno było się utopić na tyle skutecznie, aby poszukiwania zwłok trwały przynajmniej kilka dni, co też zdarzało się przynajmniej raz w roku. Z powodu głębokości topiono tam najróżniejsze rzeczy, których chciano się pozbyć, czasem całkiem duże. Zeszłego lata paczka skryła się w krzakach i podglądała, jak starsi chłopcy spychają z najbardziej stromej ściany starego, zdezelowanego malucha. Samochód prasnął efektownie dachem o tafłę, po czym szybko zatonął, wypuszczając przy tym bąbelki powietrza. Zgodnie uznali, że była to największa atrakcja tego lata. Krążyły też opowieści o topielcach, którzy wychodzili nocą z jeziora, a nawet czasami w dzień, jednak w zdecydowanej większości były to bzdety wymyślone przez starszych kolegów w celu odstraszenia młodszych dzieciaków.

Grupy takich starszych chłopców, najczęściej szesnasto-, siedemnastoletnich, zbierały się wieczorami na plaży, na płaskich powierzchniach występów skalnych lub na półwyspie. Urządzali wówczas huczne imprezy plenerowe w towarzystwie dziewcząt w podobnym wieku. Puszczali głośno muzykę z jamnika, a alkohol nierzadko lał się strumieniami. W takich chwilach lepiej było trzymać się z dala od jeziora.

W tak małej wsi jak Zimnik brakowało atrakcji, więc jezioro stanowiło najlepsze miejsce dla najróżniejszych, często niezbyt bezpiecznych zabaw i rozrywek. Przez ostatnie trzy lata – odkąd rodzice pozwalali im na dalsze wypady – Maciek i jego przyjaciele za główny cel obrali sobie właśnie pobliskie jezioro. Tutaj urządzali zawody, konkursy, pikniki i ogniska. Był jeszcze folwark, ale tam stróżował stary Gajowski ze swoim Brutusem, który już kiedyś wygryzł Ślepemu dziurę w spodniach na tyłku. Między innymi dla tego woleli jezioro, które uważali za swoje. Musieli tylko czasami

ustępować starszym chłopakom i grupom pletwonurków, którzy ściągali tutaj nieraz nawet z bardzo dalekich okolic. Była jeszcze pani Halina – właścicielka części terenu od strony wsi, gdzie mieściła się największa plaża. Z nią również nie mieli łatwego życia. Lubiła sobie wypić, a wtedy ganiała chłopców, ciskając w nich, czym się dało – najczęściej kamieniami i kijami – wrzeszcząc przy tym wniebogłosy, a oni uciekali gdzie pieprz rośnie. Bali się jej nawet bardziej niż starszych chłopców.

Tam też, nad jeziorem, mieściła się ich baza i jak co roku mieli zamiar spędzić w niej większość wakacji. Nie była to byle jaka baza; została wzniesiona ze starych podkładów pozostałych po rozzebranych torach kolejowych, którymi w czasie wojny dojeżdżały składy do kamieniołomu znajdującego się prawie pod Rogoźnicą. Nieźle się napocili, targając je z tamtejszej bocznicy będącej w rozbiórce, ale efekt wart był wysiłku. Zadaszenie zrobili z zardzewiałej blachy falistej, którą Tyka zwinął spod płotu pobliskiego zakładu kamieniarskiego. Lokalizacja bazy również była bezpieczna: gęste zarośla na szczycie jednej ze ścian skalnych ukrywały ją przed wzrokiem tych, którzy wspinali się lub schodzili ścieżką okalającą zalew. Od drugiej strony dostępu broniły samo jezioro i granitowa ściana, na której szczycie stała baza. Dzięki temu mieli dobry widok na okolicę i zarazem dogodny punkt obserwacyjny. Wystrój bazy był skromny, ale praktyczny. Stary, poplamiony tapczan służył do leżenia i chowania w nim najróżniejszych przedmiotów. Poza tym były jeszcze pieńki służące jako taborety i stół z przyciętymi nogami robiący za ławę. Nieopodal wejścia przygotowali niewielkie palenisko obłożone odłamkami kostki granitowej, których w okolicy nie brakowało. Tam urządzali wieczorami ogniska, piekli kiełbaski, chleb i wszystko, co się dało.

Tego sobotniego popołudnia mieli dodatkową atrakcję w postaci paczki west ice'ów. Tradycyjnie musieli wypalić przynajmniej po jednym papierosie (w przeciwnym razie można było zostać pipą),

plując przy tym na odległość do jeziora. Tym razem mieli jednak coś jeszcze. Coś, co Tyka zostawił na koniec. Porki i Ślepy kaszleli, jakby mieli wypluć płuca, ale twardo wypalili papierosy do końca. Maciek nie przepadał za tytoniem, ale nie chciał odstawać od reszty bandy, dlatego jarał równo ze wszystkimi. Podejrzewał, że Tyka powoli się wciągał, bo palenie przychodziło mu najłatwiej. To on zawsze kradł fajki ojcu, który kupował je kartonami i któremu jak do tej pory nie przyszło do głowy, aby zacząć liczyć paczki.

Tym razem jednak Tyka miał dodatkową atrakcję.

– Patrzcie, co mam – powiedział, gdy dopalali w bazie resztki papierosów, po czym wyciągnął z plecaka butelkę taniego wina. – Zwinąłem ojcu. Uczymy zakończenie roku.

Wszyscy zrobili wielkie oczy, jednak nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Czekaj, jak cię stary dorwie... będziesz chodził siny – powiedział Porki swoim piskliwym, lekko zachrypniętym głosem.

– Nie dorwie. Znów leży zalany w trupa. Wziął dzisiaj wypłatę, więc pewnie skończy chlać za parę dni. – Tyka patrzył w dal ponad taflą jeziora i skalnym brzegiem na pola rozciągające się aż po horyzont.

Jego ojciec, jak większość mieszkańców Zimnika, pracował w pobliskich licznych kopalniach granitu. Była to ciężka harówka, po dwanaście godzin na dobę, ale ją lubił. Jeszcze bardziej lubił sobie wypić po pracy, co często przeradzało się w kilkudniowe ciągi. Zapominał wtedy o bożym świecie. Tyka mógł się wtenczas wymykać z domu na tak długo, jak tylko chciał – matka nie przejmowała się zbytnio tym, co robił syn, bo większość czasu spędzała u sąsiadki, z którą debatowała nad życiorysami mieszkańców Zimnika i okolic. Powtarzała tylko, żeby nic sobie nie zrobił, bo ojciec powyrywa mu nogi z tyłka. Ojciec, który nigdy nie podniósł na swoich synów ręki na trzeźwo (starszy brat wyprowadził się z żoną do Jawora rok wcześniej), miał zgoła ciężką rękę, gdy był pijany. W takie dni zdarzało się, że chłopaki widywały

Tykę z siniakami na plecach, nogach czy nawet na twarzy. Tłumaczył, że upadł lub przydarzył mu się wypadek na rowerze, lub zleciał po schodach do piwnicy. Wiedział, że koledzy znają prawdę, nikt nigdy jednak nie powiedział tego wprost. Był to swoisty temat tabu, którego się nie porusza. Dlatego gdy szykowała się jakaś wyprawa, a jego ojciec akurat pił, czekali na Wojtka cierpliwie. Wiedzieli, że Tyka zwleka, by stary całkiem się upił i poszedł spać, bo wtedy już nie będzie w stanie wstać z łóżka, tylko pomamrocze wgapiiony w sufit.

Tego dnia Tyka posunął się o krok dalej. Wiedział, że jeśli ojciec zauważy brak jednej butelki, to nie będzie po co wracać do domu, ale spotkanie z chłopakami i uczczenie zakończenia szóstej klasy było ważniejsze i silniejsze niż strach.

Otworzyli butelkę za pomocą szczyryka, który Porki dostał od dziadka i trzymał w bazie na wszelki wypadek. Każdy po kolei brał po łyku trunku z gwinta, a po paru minutach wszystkim zaczęło szumieć w głowach. Oprócz Tyki nikt z nich wcześniej nie pił wina. Do tej pory tylko raz zdarzyło im się degustować alkohol. Trzy miesiące wcześniej wypili po jednym piwie ukryci w krzakach za folwarkiem. Odkupili wtedy browary po zawyżonej cenie od starszego o trzy lata Ryśka Gorczyca, który handlował w szkole, czym się tylko dało. Nie doczekał końca roku szkolnego, został wydalony z placówki za naganne sprawowanie i zły wpływ na innych uczniów. Sami uczniowie ubolewali nad tym – u Ryśka dało się załatwić wiele niedozwolonych rzeczy, łącznie z marihuaną. Wypicie pierwszego piwa w ich życiu uznali zgodnie za niezłą przygodę i swego rodzaju inicjację dorosłego życia. Pijąc gorzka-wy, gazowany trunek, czuli, że nie są już małymi chłopcami – stawali się mężczyznami.

Teraz mieli wino, a to już grubsza sprawa.

– O której starzy kazali wam wracać? – spytał Porki, gdy zapalili po kolejnym papierosie, a butelka stała pusta. Poczuli, że szum

w głowach się nasilił, a humory się poprawiają. Było przed dwudziestą pierwszą i słońce wisiało już bardzo nisko na niebie, jednak nie przejmowali się tym.

– Mnie ciotka kazała wracać o dwudziestej drugiej.

– I co, pipo, polecisz? – odpowiedział Tyka ze zjadliwym uśmiechem.

– Jasne, że nie. Tylko pytam. I sam jesteś pipa! – odparował Por-ki. Przygotował się, że Tyka będzie chciał go pacnąć dłonią w głowę, jak to miał w zwyczaju, ten jednak tym razem mu odpuścił. Śmiał się tylko, patrząc na jezioro.

– Ja mam wyjątkowo czas do jedenastej – odezwał się Maciek. – Ojciec miał dzisiaj dobry humor.

– Mnie starzy dali czas do dziesiątej, ale walić to, mamy waka-cje! – dodał Ślepy i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Tyki nikt nie pytał, o której ma wrócić – wiedzieli, że ojciec pije, a matka będzie zapewne siedziała u sąsiadki do północy albo i dłużej. Po chwili wstał i powiedział:

– Dobra, leszcze! Kto idzie skakać ze skałki?

– Wszyscy! – krzyknął Maciek. Żadne protesty nie wchodziły w grę. Ten, kto nie podjąłby wyzwania, zostałby tradycyjnie okrzyki-nięty pipą, więc, chcąc nie chcąc, szedł każdy. Tym razem odwagi dodawało im wino.

Wąską ścieżką biegnącą tuż przy uskoku ruszyli w górę zbo-cha nad brzegiem. Dróżka prowadziła aż do najwyższego punktu, a dalej opadała wzdłuż skarpy, okrążając jezioro aż do najniższego brzegu znajdującego się nad plażą po drugiej stronie zalewu.

W jednym z najwyższych miejsc skalistej korony jeziora wy-stęp skalny tworzył pojedynczą wysuniętą półkę o szerokości nie-spełna pół metra, zwaną przez miejscowych chłopaków Diabel-skim Kłem lub po prostu skałką. Występ się zwiężał i przy samym uskoku miał już tylko niecały metr szerokości. Stąd do lustra wody było jakieś dziesięć metrów pionowej ściany. Z lewej strony uskoku

skały tworzyły naturalne schody prowadzące na półwysep wrzynający się w zalew na jakieś trzydzieści metrów.

Oddawano stąd najbardziej ekstremalne skoki. Maciek, Porki, Tyka i Ślepy skakali z Diabelskiego Kła po raz pierwszy ze szłego lata. Był to jeden z elementów inicjacji, która miała ich wprowadzić na wyższy poziom i udowodnić, że mają jaja. Za pierwszym razem wszyscy się wahali, udawali twardych, lecz w rzeczywistości każdy z nich, nawet najodważniejszy Maciek, był przerażony. Największy problem był zawsze z Porkim. Miał najmniej wiary w siebie, lecz mimo to nigdy nie stchórzył. Tym razem jednak ośmielony solidną dawką tura postanowił skoczyć jako pierwszy.

– Piotrek, jesteś pewien? – spytał Maciek, gdy Porki nieporadnie zdejmował ciuchy.

– Spoko. Dam radę – odparł, po czym, nie zastanawiając się długo, ruszył biegiem, żeby nabrać rozpędu. Zatrzymał się jednak tuż przed skarpą, ledwo wyhamowując. Cofnął się i ponowił próbę.

– Dajesz, pipo!

– Tyka, daj mu spokój – wtrącił Maciek.

Gdy zapanowała cisza, Porki podjął kolejną próbę i tym razem się nie zawahał. Skoczył, wrzeszcząc, jakby go ze skóry obdzierali, i rąbnął w wodę w pozycji na bombę, jak to miał w zwyczaju, wzbijając przy tym strumienie wody. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy przez dłuższy moment nie wypływał. W końcu pojawił się na powierzchni i wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Dawać, leszcze! Będziecie tak stać do jutra jak sieroty czy skaczące?! – krzyknął z dołu i popłynął w stronę przeciwnego brzegu, gdzie znajdowała się niewielka kamienna plaża, jedyna nad całym jeziorem.

Reszta chłopców nie zastanawiała się już ani chwili; każdy kolejno oddał skok w swoim stylu. Woda była chłodna i orzeźwiająca, nawet w promieniach czerwcowego słońca ogrzewała się bardzo

powoli – niektórzy twierdzili, że od tego zjawiska wzięła się nazwa jeziora. Gdy wyszli na brzeg, byli zdyszani, ale szczęśliwi. Słońce wisiało nisko nad horyzontem.

– No, Porki, to było coś! Może kiedyś będzie z ciebie prawdziwy chłop – powiedział Tyka, patrząc z podziwem na Piotrkę. W jego ustach był to największy komplement.

Porki wyszczerzył krzywe zęby w uśmiechu.

– A jak! Się wie! – Czuł się dumny z siebie bardziej niż kiedykolwiek.

Jak zwykle robił dobrą minę do złej gry. Wszyscy, w tym on sam, wiedzieli, że ma kompleksy, ale choćby nie wiadomo jak się starał dorównać chłopakom, zawsze będzie odstawał od nich fizycznie. Próbował to nadrabiać intelektem i często udawało mu się to z jego talentem do wymyślania różnych rozrywek. Nagle przypomniał sobie to, o czym myślał przez ostatnie dni roku szkolnego. Uznał, że to odpowiednia pora, aby przedstawić swój zamysł. Popatrzył chytrze po wszystkich i powiedział:

– Słuchajcie. Ostatnio myślałem o tym, żeby w te wakacje zrobić wyjątkowy czelendź. – Porki usłyszał to słowo w jakimś teleturniejku telewizyjnym wyprodukowanym na bazie amerykańskiego odpowiednika i od tamtej pory używał go zawsze, gdy chodziło o wyjątkowo trudne zadanie, co czasami dla reszty bywało irytujące. – To będzie prawdziwy sprawdzian dla mężczyzn. Skok ze skałki to przy tym dziecinada.

– Co takiego? Gadaj! – odezwał się Maciek, wyrażając tym samym ciekawość pozostałych.

– Jedziemy jutro na Kałużnik. Resztę powiem wam na miejscu. Jak ktoś nie pojedzie, bo wymięka, to jest pipa!

Nikt nie zaprotestował, bo nikt nie chciał być pipą. Ciekawiło ich, co tym razem wymyślił Porki. Każdy słyszał opowieści o tym lesie i na samą myśl o wycieczce tam na skórze pojawiała się gęsia skórka.

Po ustaleniu godziny wyjazdu wrócili na górę po ciuchy, po czym wyciągnęli rowery z kryjówki w krzakach nieopodal bazy i rozjechali się do domów.

Maciek wrócił dziesięć minut po czasie. Ojciec nie pytał, gdzie był i dlaczego się spóźnił. Siedział w salonie na kanapie i oglądał telewizję. Przypomniwał Maćkowi jedynie, żeby się umył i zjadł kolację. Ten uwinął się z tym błyskawicznie, bo chciał się jak najszybciej położyć po dniu pełnym wrażeń. Wino dało o sobie znać: było mu niedobrze i ogarniały go mdłości, jednak na szczęście przeszły, zanim zasnął. Nadal jednak chciało mu się pić, czuł w ustach suchość, więc jeszcze przed kolacją wyłopał trzy szklanki wody. Był pewien, że gdyby tego nie zrobił, nie zjadłby niczego. W łóżku poczuł potworne zmęczenie, ale zdążył pomyśleć nad wyprawą, którą zaplanował Porki. Zastanawiał się, co jego przyjaciel wymyślił tym razem. Przyszło mu do głowy, że w lesie Kałużnik jest jedno miejsce, które Porki mógł brać pod uwagę, ale doszedł do wniosku, że chyba nie zaplanowałby czegoś aż tak głupiego. Chociaż... po Piotрку można było się spodziewać wszystkiego. Złapał się jeszcze na dziwnym przeczuciu, że ta wyprawa będzie inna niż wszystkie, a wraz z nią – całe wakacje, po czym zapadł w sen i przespał twardo całą noc.

KAŁUŻNIK

Każda miejscowość, nawet ta najmniejsza, ma anegdoty, podania czy tajemnicze historie. Czasami są to opowieści związane z zabytkami, czasami – z miejscami. Niekiedy są spisane jako legendy lub przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Często występują w nich wszelkiego rodzaju straszdyła, od diabłów poczynając, a na duchach kończąc. Kiedyś w nie wierzono, lecz w dzisiejszych czasach straszy się nimi już tylko małe dzieci, przyjezdnych i turystów. Czasami są to historie zabawne, czasami pouczające, ale najczęściej straszne. Nierzadko mają swoje źródła w historii regionu, a początek – w prawdziwych wydarzeniach. Powstawały z nich opowieści, które z biegiem lat stawały się tym ciekawsze, im bujniejszą wyobraźnię miał opowiadający.

Takie historyjki przekazywano sobie we wsiach takich jak Zimnik, gdzie ludzie byli zżyci z przyrodą i bardziej przesądni niż miastowi. Tam też najczęściej traktowano je na poważnie z racji tego, że pochodziły na ogół od ludzi starszych, którzy sami zaczęli w nie wierzyć.

Okolice Zimnika również miała takie historie, mniej lub bardziej bliskie prawdy. Część z nich traktowała o ludziach, którzy wydostali się z pobliskiego Gross-Rosen lub otaczających go kamieniołomów, i była prawdopodobna. Jednak niektóre mówiły o rzeczach tajemniczych i niewytłumaczalnych, które dla ludzi z zewnątrz były niczym więcej jak historiami mającymi na celu wzbudzać dodatkowe emocje wśród turystów, a które mieszkańcy Zimnika z dziada pradziada uważali za prawdziwe.

Jedna z takich historii dotyczyła lasu Kałużnik.

Pewnego razu, jakieś dziesięć miesięcy przed zaplanowaną przez Porkiego wyprawą, czterej przyjaciele siedzieli przy ognisku obok bazy, która jeszcze wtedy znajdowała się w połowie budowy. Słońce zaszło już za horyzont, widać było jedynie różowy pasek w miejscu, gdzie pożegnało się z dniem, a główne źródło światła stanowił strzelający wesoło ogień. Z reguły w takim klimacie chłopcy opowiadali sobie różne mrozące krew w żyłach historie, więc i tym razem nie mogło być inaczej. Jako że Maciek nie urodził się w tamtej okolicy i mieszkał w Zimniku dopiero od pięciu lat, Porki postanowił opowiedzieć historię przekazywaną sobie przez mieszkańców od kilkadziesiąt lat, słusznie podejrzewając, że Maciek nie zdążył jej poznać. Trzask drewna i cykanie świerszczy stanowiły idealne tło dla opowieści.

– Siwy, opowiem ci dzisiaj o diable z Kałużnika – powiedział Porki, gdy zjedli ostatnie pieczone kielbaski. – Uwierz mi, stary, jak o tym usłyszysz, to będziesz miał pełno w majtach. – Policzki nadymały mu się jak zawsze, gdy się czymś podniecał, co Maćka niezmiennie rozśmieszało. Jego pucułowata twarz zrobiła się jeszcze bardziej okrągła i przypominała księżyc w pełni, który niedawno wszedł nad horyzont.

Pozostali doskonale znali tę historię, dlatego skupili wzrok na Maćku. Odkąd pamiętał, interesowały go opowieści o duchach, upiorach i wszelkich nadprzyrodzonych stworach i zjawiskach,

dlatego wbrew zabawnej minie Porkiego zachował spokój i zasłuchał się w opowieści.

– Jak już wiesz, niedaleko obozu jest las Kałużnik, zwany też Mrocznym Lasem, ale pewnie nie słyszałeś o tym, co tam grasuje. A są tam rzeczy, o których fizjonomom się nie śniło!

– Filozofom, pacanie! – wtrącił Tyka.

– Zamknij się! Ja opowiadam! Jak ty będziesz opowiadał, to będzie po twojemu! – wrzasnął Porki, pluając przy okazji na Tykę.

– Nie kłóćcie się. Chcę tego posłuchać. Daj spokój, Tyka – załagodził sytuację Maciek, na co przytaknął mu Ślepy.

Porki chrząknął podbudowany interwencją Maćka i kontynuował, starając się, aby jego głos brzmiał odpowiednio enigmatycznie.

– No więc w tym lesie od dawna dzieje się coś dziwnego. Ludzie, jak mają tamtędy iść, robią znak krzyża przed wejściem, bo często widać tam rzeczy, od których włosy jeżą się na głowie. Czasem nocą między drzewami widać jakąś świetlistą postać, która krąży, jakby drogi szukała. Czasami znowu słychać wycie, straszne zawodzenie przypominające płacz dziecka. Niektórzy tłumaczą, że to wilki, ale w tym lesie nikt nigdy nie widział wilka! Krążą pogłoski o czarnych cieniach przelatujących nad głowami. Ponoć kilkanaście lat temu znaleziono tam martwego rowerzystę. Policja mówiła, że to wypadek, ale on dostał zawału, a wszystkie włosy miał siwiutkie, jakby zobaczył upiora albo coś jeszcze bardziej przerażającego! Ale najciekawsza jest Chata Starego Dziada, no i właśnie Stary Dziad.

Maciek musiał przyznać, że historia zaczynała robić wrażenie, a Porkiemu opowiadanie szło całkiem nieźle. Nawet Tyka i Ślepy, którzy doskonale znali tę opowieść, słuchali z uwagą. Porki, rad, że wszyscy są skupieni na nim, mówił dalej z jeszcze większym zapamię. Zniżył głos, jakby ich podsłuchiwało coś czającego się w krzakach dookoła.

– Chata Starego Dziada leży mniej więcej w środku lasu, na łące niedaleko strumyka. Mieszka tam sam i nikt go nigdy nie

odwiedza. Ludzie nie wiedzą, skąd się tam wziął i od jak dawna tam jest. Mówi się, że mieszka tam od zawsze. Nawet najstarsi mieszkańcy Zimnika nie potrafią powiedzieć, kiedy po raz pierwszy pojawił się w tym lesie. Powiadają, że ma sztamę z diabłem i odprawia jakieś czary albo inne cholerstwa, dlatego ludzie trzymają się z dala od niego i od jego chaty. Musisz wiedzieć, że co kilka lat w okolicy ginie jakieś dziecko i nigdy żadnego nie znaleziono. Ponoć Dziad zakrada się do domów i porywa małe dzieci z kołysek albo podczas zabawy, zabiera do chaty, a potem pożera żywcem! Kilka lat przed twoim przyjazdem w Kostrzy zaginęł siedmioletni chłopak. Przyjechała policja, psy tropiące zaprowadziły ich do Kałużnika, ale nie chciały wejść do lasu. Piszczwały i skomlały, ale nikomu nie udało się ich zmusić, żeby tam weszły. Niektórzy powiadali, że gdy przechodzili nocą w pobliżu lasu, słyszeli, jak Dziad wyje tak, że aż ciarki przechodziły po plecach. Są też tacy, którzy mówią, że sam Dziad jest diabłem wcielonym, i żegnają się na samo wspomnienie o nim. Jeszcze inni łączą te wydarzenia i Dziada z obozem, ale nikt tego nigdy nie sprawdził, bo wszyscy się boją. Kiedyś jeden badacz przyjechał tutaj z Wrocławia i postanowił odwiedzić Dziada w chacie, żeby potwierdzić prawdziwość lokalnych opowieści. Nic sobie nie robił z przestrogi i śmiał się, że to zabobony. Polazł tam nocą, żeby udowodnić, że nic mu nie będzie. Jak poszedł, tak przepadł. Znalezione go w polu trzy dni później, bladego jak ściana. Nie mógł mówić i wpadł w jakąś katenię, kantanonię czy jakoś tak.

– Katatonię – poprawił Maciek.

– Dobra, nieważne. Zawieźli go do szpitala dla czubków w Bolesławcu i tam już został. Mówię ci, stary, ten las jest przeklęty i lepiej trzymać się od niego z dala, a Chata Starego Dziada to najbardziej koszmarnie miejsce, jakie można sobie wyobrazić.

– Cholera. Rzeczywiście robi wrażenie... – przyznał Maciek. – Ciekawe, ile w tym prawdy.

Na to jednak nikt nie znał odpowiedzi, a chwilę później popieszczeni wyruszyli do domów.

Maciek myślał o opowieści Porkiego jeszcze przez kilka dni. Mimo młodego wieku zaczytywał się w horrorach. Już wtedy miał na koncie cztery powieści Stephena Kinga i jedną Grahama Mastertona. Oprócz tego uwielbiał seriale *Z Archiwum X* i *Opowieści z krypty*.

Potem, jak to jedenastolatek, puścił opowieść o Mrocznym Lesie w zapomnienie. Przypomniał ją sobie dopiero w chwili, gdy w niedzielny poranek Porki oznajmił im, dokąd i po co jadą.

Umówili się o jedenastej, tak żeby każdy zdążył wrócić z kościoła. Porki musiał iść na mszę, choćby szalała trąba powietrzna, gdyż ciocia była osobą wyjątkowo religijną – tym bardziej po ostatniej kołędzie musiał pokazać księdzu, że jest przykładnym katolikiem – więc jako organizator wyprawy od razu zaplanował odpowiednią dla siebie godzinę. Pomimo przeczcucia, że ciocia może go przepytywać, a brak zadowalającej odpowiedzi miał z reguły niemiłe konsekwencje, nie zapamiętał nic z kazania; myślał już tylko o wyprawie. Świadomość nadchodzącej przygody tak go ekscytowała, że był nawet gotów narazić się ciotce. Nie karała nigdy biciem, ale można było się spodziewać karnego zadania w postaci przyniesienia dziesięciu wiader kartofli czy węgla z piwnicy albo skopania szpadlem całego ogródka. Po takim ciocinym czelendżu był w stanie zapamiętać każdy wyraz z następnego kazania. Jednak tym razem nawet kary schodziły na drugi plan.

Rodzice Ślepego również chodzili do kościoła, jednak traktowali to bardziej jako formę tradycji. Uważali się za porządných i lepszych obywateli od innych mieszkańców. Ojciec, szanowny magister Zdzisław Konarski, był zastępcą dyrektora w kamieniołomie i zarabiał dużo więcej, niż wynosiła średnia w ich miejscowości. Konarscy robili wszystko, aby być wzorem cnót dla niewielkiej społeczności Zimnika. To, jak ich postrzegano, to zupełnie inna kwestia,

ale magister Konarski i jego żona mieli pewność, że są zdecydowanie najbardziej przykładną rodziną w tej wsi. Z tego powodu musieli chodzić na msze wszyscy razem, nie zważając na to, że ich syn uważa prowadzenie się ze starymi za rękę za oczywistą siarę.

Tyka do kościoła chodzić nie musiał, mimo że jego matka była na niedzielnej mszy. Nie kazała robić tego synowi, bo sama chodziła tam tylko po to, by móc po mszy poplotkować z sąsiadkami, do których najczęściej wpraszała się potem na kawę i ciasto. Ojciec zaś spędzał ten czas w barze na piwie, więc Tyka mógł wtedy robić, co chciał. Właśnie te okoliczności sprawiły, że dotarł na miejsce spotkania jako pierwszy.

Maciek przyjechał jako drugi, gdyż wyszedł tuż przed końcem mszy. Podobnie jak Tyka, nie miał obowiązku chodzenia do kościoła. Ojciec nie zmuszał go do tego; jego wiara była mocno zachwiana po śmierci żony i postanowił, że gdy jego synowie dorosną, sami zdecydują, w co chcą wierzyć. Maciek jednak robił to z własnej woli, wiedząc, że mama by tego chciała.

Gdy znaleźli się w komplecie, Porki chrząknął i przybrał poważny ton, co w połączeniu z jego piskliwym głosem brzmiało groteskowo. Wygłosił mowę, którą układał sobie podczas mszy, gdy ksiądz wygłaszał kazanie o gorejącym krzewie.

– Dzisiaj okaże się, kto z nas jest mężczyzną, a kto tchórzem! – Patetyczny ton i uniesiony palec wskazujący miały dodać przemowie wyjątkowej powagi. – Jedziemy na wyprawę w miejsce, gdzie czeka nas specjalne zadanie, które pokaże, ilu z nas ma jaja wielkie jak byk od Czereśniaka!

Ostatnie zdanie wymówił głosem jeszcze wyższym, przez co zapał niczym kogut. Tyka nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– I z czego rżysz, baranie?! Zobaczmy, czy będzie ci tak wesoło, jak przyjdzie twoja kolej na czelendź! – wrzasnął. Tykę wściekła mina Porkiego dodatkowo rozśmieszyła tak bardzo, że złapał się za brzuch.

– Spokojnie, Piotrek. Wiesz, że on tak szybko nie przestanie – powiedział Maciek, który sam ledwie powstrzymywał się od śmiechu. – Gadaj już, co wymyśliłeś, bo mnie ciekawość zżera.

– No to teraz słuchajcie uważnie: jedziemy do Chaty Starego Dziada. Na miejscu powiem wam, jakie jest zadanie. Któryś już wymięka? – Porki powiódł wzrokiem po kolegach niczym dowódca w wojsku badający morale przed wyruszeniem na bitwę. Zmrużył przy tym oczy, próbując przybrać groźne oblicze, lecz po raz kolejny wyglądał komicznie. Tym razem jednak nikt się nie zaśmiał. Sama nazwa miejsca budziła lęk i respekt. Co prawda nikt nie wykazał entuzjazmu, ale też nikt się nie wycofał. Przecież nikt nie mógł być pipą.

– No to świetnie – ciągnął Porki. – W takim razie palimy wroty.

– Jestem za. Starzy i tak już będą wściekli, że nie będzie mnie na obiedzie, a jak nie wrócę do dwudziestej pierwszej, to będę miał szlaban na tydzień – dodał Ślepy, po czym wsiadł na rower.

– Ja tam się ciotki nie boję, sprawdzian męstwa jest ważniejszy. Jedziemy, leszcze! – powiedział Porki i wsiadł na swojego BMX-a, po czym ruszył, wzbijając tuman kurzu. Reszta poszła za jego przykładem. Kilka minut później zniknęli za wzniesieniem, za którym kręta polna droga prowadziła do lasu Kałużnik.